

# FREKWENCJA 350

TOM 4

PORTALE UCZUĆ



Aleksandra Fila

# FREKWENCJA 350

TOM 4

PORTALE UCZUĆ

Aleksandra Fila

*Space*  
BOOKS

## AZYMUT GRANADI

Cothley oznajmił, że do pierwszej na trasie planety, położonej niedaleko – a według Zoonaru „tuż za miedzą” – dotrą w klasyczny sposób. Ruszyli prostopadle do ekliptyki tak jak kiedyś Geysler. Korwetę rozbawiła różnica w postrzeganiu odległości przez cywilizacje: te, które opanowały loty międzygwiazdne, oraz te, którym było do tego daleko. Trasa, która Geyslerowi zabrała ponad miesiąc, miała teraz zająć zaledwie jedną ziemską noc i pół dnia – i to w tempie uznanym za ślimacze, bo na nikim z załogi nie robił już wrażenia lot z połową prędkości światła.

Kiedy odrywali się od ekliptyki, obraz Układu Słonecznego stopniowo się spłaszczał. Planety połyskiwały odbitym światłem niczym krople w czerni, zawieszane wokół rozjarzonego centrum. Korwetta w ciszy patrzyła przez panoramiczne okno sterowni, jak znajomy porządek świata zostaje za nią. Już nie było góry ani dołu – tylko oni i przestrzeń. Ekliptyka opadała, a wokół migotała głębia. Po chwili widok stał się abstrakcyjny: Słońce wraz z rodziną planet tworzyło tylko cienki dysk świetlny. To było już za nimi. Lecieli prosto w serce pustki.

Po odprawie kończącej procedurę startową i powtórny omówieniu trasy Korwetta przyjrzała się byłej załodze porucznika Al'Khala. Wszystkich zdawało się przepelniać pragnienie przygody na międzygwiazdnym szlaku – nie przypadkiem wybrali przecież służbę we flocie Federacji.

Sam Zoonaru świetnie odnajdywał się w roli podwładnego na bolidarze. Dał sobie czas na amory, które służyły też Ramin – cała ostatnio promieniała. Uwolniona od pościgu byłego zwierzchnika Plejadianka odżyła, bez dwóch zdań, a jej perlisty śmiech wibrował często w pomieszczeniach statku. Podobnie było z Gulapem, doszedł do siebie i okazał się istotą dowcipną, a do tego szybko odnalazł wspólny język z Rapiłahem. Empatyczny Mornatir też porzucił swoją nostalgiczną aurę. Przypisywana mu wcześniej przez Korwettę nobliwość okazała się pozorna – jego neonowozielone oczy nieraz połyskiwały podejrzanymi ognikami.

Teraz w milczeniu wpatrywała się w czerni kosmosu, sądząc, że powolne tempo początku podróży i dłuższy postój na Granadi mają istotny związek właśnie z nią.

– Prawidłowo dedukujesz – potwierdził to myślą Cothley, gdy przekazał stery inteligencji statku. – Pamiętam, że obiecałaś solidną pracę przy kryształach. Miejmy nadzieję, że to złagodzi twój chaos wibracji i da ci stabilność niezbędną do przechodzenia przez portale.

Uśmiechnęła się do niego smutno.

– Ale najpierw kryształ wraz z tą planetą wyrwą ze mnie duszę, no nie? – Przypomniała sobie relację Roberta. – Dzięki, że będziesz wtedy przy mnie, Coth.

– Ja albo Tragueri – odparł, a ona sposepniała.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. Cicho wstała z fotela, pożegnała gestem załogę pozostającą w sterowni i oddaliła się do swojej kajuty. Jak zwykle miała nadzieję, że Cothley nie zostawi jej w takim stanie. Nie myliła się – po chwili rozsunął niedomknięte drzwi.

– Jeśli mnie teraz potrzebujesz, jestem do dyspozycji – powiedział i spoczął przy niej na łóżku.

Uniosła się na łokciach i zwróciła w jego stronę.

– Coth, dlaczego między nami nie jest tak jak dawniej? – zapytała. – Już nie chodzi mi o tę fizyczną bliskość, ale nawet przed nią było... inaczej.

Cothley rozważał coś w myślach.

– To nie czas ani miejsce, żeby rozpoczynać nowy proces – odpowiedział. – Przed wejściem w portale musisz oczyścić otwartą ranę. Reszta może poczekać.

– A dlaczego chcesz moją ranę oddać Traguieriemu?

– Bo pewnie zrobi to lepiej niż ja – odrzekł bez wahania. – Będzie bardziej obiektywny.

Zaniepokoiła się.

– Czy zniechęcam cię tym, że mam żal do Roberta, którego ty uwielbiasz?

Cała jego postać zawibrowała zdziwieniem.

– Nie, kochanie, zupełnie nie. – Poglądził jej włosy. – Jeśli wolisz, żebym to ja był w tej pracy przy tobie, to będę. Chcesz zacząć teraz?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Jednak wolę przy kryształach, teraz nie mam siły – odpowiedziała szczerze. – Ale... mogłabym zasnąć przy tobie? Tylko zasnąć.

– Jasne – odpowiedział z lekkim opóźnieniem, które zauważyła. – To chodź do mojej kajuty.

Mimo że nie dostrzegła fałszu w jego zachowaniu, a otulona jego fluidem czuła się bezpieczna tej nocy, wciąż tęskniła do tej ich dawnej relacji, nieskrępowanej winą.

Gdy się obudziła, Cothley, Traguieri i Rapilah byli już w sterowni. W panoramicznym obrazie kosmosu Słońce stało się tylko jasnym punktem pośród miliardów innych, za to po ekliptyce nie było już śladu. Wokół panowała głęboka, przejrzysta czerni, przecięta odległym pasmem Drogi Mlecznej. Ta wstęga utkana z miriadów gwiazd zdawała się falować jak oddychający żywioł. Ciemność w kosmosie nie wynikała z braku światła, lecz z jego rozproszenia w pustce. Gwiazdy świeciły jasno, lecz samotnie, otoczone mrokiem, który nie odbijał ich blasku. To nie była noc – to była próżnia.

Uldryjczycy przekazali mentalnie grupie Al'Khala, że statek wkrótce wejdzie w sztuczny portal. W odpowiedzi niemal natychmiast zjawili się w sterowni Mornatir i Gulap.

– Możecie spać w osobnych kajutach, Korwetta przeniosła się do mnie – zwrócił się do nich Cothley, gdy w drzwiach sterowni pojawili się Ramin i Zoonaru. – Bo nie sądzę, żebyście wy chcieli mieszkać osobno. – Skierował wieniec oczu w stronę wchodzącej pary.

Ramin i Zoonaru natychmiast zaprzeczyli, a Mornatir odezwał się z wdzięcznością:

– Ja chętnie skorzystam z osobnej kajuty!

Rapilah wkleił większość oczu w Cothleya z nie dla wszystkich oczywistego powodu. Koryfer uśmiechnął się i odpowiedział klarownie na jego myśl:

– Wiem, Rapi, że nadal interesuje cię, co robią w kajutach te pary płci odmiernej.

– Tylko w celach naukowo-badawczych! – odpowiedział mu z miejsca Rapilah. – Przecież z takim zamysłem analizowaliśmy też zachowania Ziemiaków!

Cothley roześmiał się, rozbawiony przebiegłością tryfera, a Ramin wtrąciła:

– To nasze zachowania też analizujecie?

– Bez nachalności – odrzekł Traguery. – Nie, jeśli sobie tego nie życzyście.

To zelektryzowało Zoonaru, który zapytał zaraz:

– A jeśli nie zrobiliśmy zastrzeżenia, to analizujecie?

– Wystarczy wasza niechętna postawa – uspokoił go Traguery.

– Postawy niechętniej, czy wręcz blokującej, można się uczyć od naszego koryfera – podjął z miejsca Rapilah. – Lekceważy dobro nauki, a wcześniej sam pisał raporty z analiz ludzi!

Teraz roześmiali się wszyscy, a Cothley odpowiedział:

– Doceniam twoje poczucie humoru, Rapi, ale tym razem nic nie wskórasz.

Nieco speszona Korwetta dodała zaraz:

– Wasz koryfer tylko zbiera mnie w jeden kawałek.

Wybuch ogólnej wesołości przerwało pojawienie się na ekranie kulistego obiektu, spowitego jakby różowym tiulem. Korwetta rozpoznała go natychmiast z transmisji bitwy o Ziemię. Nie trzeba było nikomu tłumaczyć, że to wejście do sztucznego portalu Federacji.

*Na tych wrotach roztrzaskał się dodekaedr Vancruso, przemknęło jej przez myśl.*

– Bo był niekompatybilny wibracyjnie – skomentował to Tragueri.

– Oni nie czyhają tu gdzieś na kryształ? – wolała się upewnić.

– Tu na pewno nie. Wejście jest teraz monitorowane przez Federację – odparł Cothley.

Bolidar zbliżył się do różowego bąbla. I nagle, bez żadnych fajerwerków, wślizgnął się do jego wnętrza. Korwecie, nastawionej na większe sensacje, zrobiło się tylko różowo pod powiekami.

– To tutaj następuje pierwszy rozjazd czasowy z Ziemią, prawda? – zapytała.

Obaj koryferzy skinęli wieńcami, a ona wyobraziła sobie załogę w rozpędzonym Geyszerze, mknącą kilka dni w tej przestrzeni – bez jedzenia, picia i z kończącym się tlenem. Przez moment wręcz miała wrażenie, że czuje ślad ich energii. *Może to efekt pracy z Lucasem?*, pomyślała.

Na ekranie konsoli dość szybko pojawił się sygnał elektromagnetyczny jakiegoś pulsara. Jakby w odpowiedzi na ten impuls odezwał się Tragueri:

– Widać już gwiazdę Ruan i jej system.

Korwetta nic jeszcze nie widziała, ale po chwili zaczęła rozpoznawać gwiazdę karła, nabierając wyrazistości. Nie знаła jej z ziemskich map, ale na podstawie parametrów, które nauczyła się już trochę odczytywać z uldryskich przyrządów, zdołała określić ją jako żółto-białą, gorętszą, większą, jaśniejszą i młodszą od Słońca. Ruan miała system planetarny – trzy bliższe gwiazdzie planety okazały się gazowymi olbrzymami, a czwarta, o najszerszej orbicie, była skalista.

– To Granadi! – krzyknęła i wskazała ją palcem.

Tragueri skinął głową.

– Federacja nazywa ją M101 – sprostował.

Niemal czuła na karku oddechy członków załogi Al'Khala, którzy, stojąc za nią, wpatrywali się w ścienny ekran. Planeta była mniejsza od Ziemi, ale miała cięższe jądro oraz grubszą i bogatszą w tlen atmosferę. To Korwetta pamiętała już z opowieści repatriantów. Teraz uświadomiła sobie, że to nie cudowny przypadek sprawił, iż tak blisko Ziemi znalazł się federacyjny portal, prowadzący ku planecie pełnej wody, z grawitacją, ciśnieniem atmosferycznym i magnetyzmem zbliżonymi do ziemskich. Ten portal został najprawdopodobniej naprędce stworzony z myślą o uciekinierach ściganych przez Vancruso. Uldryjczycy odebrali jej domysły i je potwierdzili, a Korwetta poczuła jeszcze głębszą wdzięczność za ich starania o interwencję Federacji.

– Taki nienaturalny portal trzeba regenerować, dopóki jest potrzebny – powiedział Cothley.

Spróbował zademonstrować sposób jego wykonania poprzez projekcję mentalną. Korwetta nie koncentrowała się na pojęciach takich jak pole grawimetryczne czy fundament kotwiczący portal – zapewne lepiej zrozumiałych dla grupy Al'Khala. Dotarło jednak do niej, że całość powstała poprzez interwencję z dużej odległości. Nic dziwnego – podczas ucieczki Geysera fizycznie nie było tu żadnych budowniczych Federacji, a chodziło przecież o to, by uratować troje ludzi i umożliwić im życie na planecie nadającej się do zamieszkania.

Planeta M101 była idealna do tego celu, lecz nieosiągalna w trakcie typowego lotu Geysera. Trzeba było skrócić drogę przez tunel czasoprzestrzenny, który wchłonął M101 jak kosmki jelitowe, a rozpoczął się portalem zdolnym zatrzymać Vancruso. Korwetta ujrzała w myślach obraz tego skrótu: tunel był cięciwą w formie uchylka, łączącą dwa punkty na typowej, sferycznej drodze statków.

Projekcja Cothleya pokazywała, w jaki sposób tunel wygenerowała cywilizacja cerkamońska – specjalizująca się we wznoszeniu

konstrukcji na odległość. Starła się na tym skupić, ale szło jej słabo. Dotarło do niej, że owa cywilizacja, której wygląd został w projekcji Cothleya pominięty, zapisała dane o polu energetycznym, grawitacyjnym i subtelnym rezonansach planety M101 w macierzy inicjującej portal. Macrycę wyeksponowała w kodzie światła, a ono dotarło tu z najbliższej bazy w ciągu kilku godzin – gdy trwało starcie dodekaedru Vancruso z Geyserelem, a później miał miejsce pościg.

Dalej było jeszcze więcej niepojętej na Ziemi fizyki. Otóż wchodząc w świeżo powstały portal, Geyserele otworzył i rozwinął tunel, czyli przestroił lokalną przestrzeń tak, by stała się kompatybilna z tą wokół planety M101. Widoczny wciąż na ekranie różowy, eteryczny bąbel stanowił fundament kotwiczący portal – nadwyrężony podobno w ostatnim czasie przez Vancruso. Nazwa tej rasy skupiła uwagę Korwetty na portalu – co w obecnym stanie ducha nie przychodziło jej łatwo. Wsłuchiwała się jednak w dalszy wywód Cothleya.

– Słabym punktem tak budowanych struktur bywały rozjazdy czasowe – odebrała. – W miejscu, gdzie uchylek obejmował planetę, przestrzeń mogła być młodsza lub starsza niż ta przy wejściu do niego.

Ciekawostką dla Korwetty stanowił fakt, że M101, nazwana przez ludzi Granadi, miała swoją gwiazdę matkę Ruan oraz siostry krążące po sąsiednich orbitach, ale tylko ona została objęta tą energetyczną cerkamońską konstrukcją. Cothley wyjaśnił, że taki był wówczas najmniejszy koszt ratowania ludzi. No i, co bardzo ważne, kryształu.

## SARKOFAG

Szpitalny pokój miał wciąż gładkie, lśniące ściany, choć wydawał się ciemniejszy niż wczoraj. Powietrze przesycił metaliczny zapach sterylności. Robert stał przy łóżku córki, wpatrując się w hologramy zawieszane nad kokpitem medycznym. Nad łóżkiem unosiły się przezroczyste moduły diagnostyczne, emitujące błękitne światło i pokazujące parametry życiowe w czasie rzeczywistym. Dwaj lekarze w nanokombinezonach, które wzmacniały precyzję ruchów oraz interakcję ze sprzętem, przesuwali bezszelestnie dłonie po tabletach.

– Panie admirale – odezwał się starszy z nich, z lekkim napięciem w głosie – od wczorajszej interwencji tkanki odbudowują się w tempie, którego nie przewiduje żadna ziemaska teoria.

Robert obserwował, jak organy wewnętrzne, mięśnie, a przede wszystkim kości Kitty powoli zaczynają przybierać dawny kształt. Błęski hologramów migąły mu w oczach, a każdy milimetr regenerującej się tkanki był dla niego dowodem, że Uldryjczycy dotrzywali słowa. *To się dzieje naprawdę*, myślał, wstrzymując oddech.

– Admirale, chyba za wcześnie, by mówić o sukcesie, bo potrzebujemy pewności, że to zmiany trwałe – odezwał się młodszy z lekarzy. – Czyli czy się nie cofną jak przy wielu tak zwanych cudownych uzdrowieniach – odpowiedział na pytanie w oczach ojca. – Ale uważamy, że jest powód do radości!

Robert uśmiechnął się do niego – oszczędnie, ale z wdzięcznością. Wysłuchał, w jaki sposób wesprą teraz córkę nowoczesne, już w pełni ziemskie, procedury regeneracji.

Kitty zaczęła się budzić. Lekarze nie wyszli, chcąc sprawdzić, czy pacjentka nawiąże kontakt z otoczeniem. Dziewczyna przesunęła po nich wzrok, a potem skierowała go na ojca. Wycofali się ku drzwiom. Robert w skupieniu przyjrzał się córce, a lekarze interakcji tej pary.

Kitty spoczywała w półprzezroczystym kokonie, który otulał jej ciało niczym druga skóra. Pokrowiec poruszał się lekko, zsynchronizowany z jej oddechem i rytmem serca. Generował pole stabilizacyjne, które utrzymywało kości w idealnej pozycji. W miejscach najcięższych obrażeń widniały plamy gęstego, opalizującego żelu, który powoli wniknął w tkanki, wspierając ich odbudowę.

– Cześć, tato – odezwała się Kitty i spróbowała się uśmiechnąć.

– Cześć, Kitty – odpowiedział. – Zdrowiejesz doskonale. Jak się czujesz?

Chciała się poruszyć, żeby to sprawdzić. Jej kokon zafalował, ale nie pozwolił na to.

– Jak w sarkofagu Tutanchamona – odpowiedziała. – Ale wytrzymam, jeśli tu będziesz.

Skinął głową.

– Będę jeszcze z godzinę – potwierdził. – Potem przyjdzie mama, a później Adam.

Skrzywiła się lekko.

– Wracasz na uczelnię? – zapytała. – Czy Korwetta...? – Cień przebiegł po jej twarzy.

– Korwetta odleciała z Uldryjczykami – odrzekł Robert twardo. – Ja dotrzymałem obietnicy. Teraz ty dotrzymaj swojej i wyzdrowiej w pełni. – W oczach córki dostrzegł najpierw ulgę, a potem niepokój. Ułga zapewne dotyczyła treści wypowiedzi, a niepokój tonu. – Bo idzie ci świetnie – dodał ciepłej, chcąc przywrócić harmonię.

Spróbowała go chwycić zdrową ręką, ale uwięzła w kokonie. Przesunął się z krzesłem.

– Jeśli potrzebujesz teraz więcej mojej obecności, Kitty, to będę – powiedział. – Chcesz, żebym wziął dłuższy urlop?

Zastanowiła się, patrząc mu w oczy.

– Najlepiej, żebyś zrezygnował z dowodzenia – odparła pogodnie. – Może mógłbyś pracować zdalnie z domu?

Zaśmiał się mimo woli.

– Ale ja jestem oficerem AcAs – przypomniał. – Tego się nie da zdalnie. A ty przeszłabyś na zdalną edukację?

Dostrzegł, że ona rozważa to całkiem serio.

– No, istnieje coś takiego jak nauczanie domowe – powiedziała w końcu słodko. – Pewnie teraz bym się kwalifikowała.

## MIĘKKIE LĄDOWANIE

Planeta M101 stawała się widoczna nie tylko na ekranach bolidaru, ale również przez panoramiczne okna. Najpierw pojawiła się łaciata kula, osnuta białymi, ruchliwymi bałwanami powietrza. Potem, już pod statkiem, zawisły kremowe chmury, które zasłaniały powierzchnię. Oczywiście przyrządy oddawały jej rzeźbę w podczzerwieni, ale Korwetta wolała doświadczać tego świata własnymi zmysłami. Gdy bolidar przebił warstwę chmurzastych kłębow, dostrzegła połyskliwe ławice miodowego piachu, a pośród nich duże zbiorniki wodne. Za chwilę góry, wulkaniczne, gorące, spowite ciemnym dymem, potem połacie nibylasów, baśniowych i kolorowych. Wreszcie zieleniejący step.

Zbliżali się do tej nieziemskiej, jaskrawozielonej łąki, przez której środek płynęła spora rwąca struga. Struga była błękitna i niewątpliwie zawierała wodę. A więc rzeka! Po chwili Korwetta dostrzegła coś, co ścisnęło jej serce w piersi. W okazałych zaroślach, nieopodal rzeki, stał sobie, jak gdyby nigdy nic, Geysler, zaparkowany na grubej rufie. Nie wiele pomylili się studenci na balu, lokując go w szuwarach. Bolidar zszedł jeszcze niżej i dało się teraz dostrzec całe gospodarskie obejście, stworzone ludzką ręką. W centrum majaczyła drewniana wiata z liściastym dachem – niszczejąca, bo wszystko zagarniała już zieloną falą niepróżnująca ani chwili natura.

Tragueri posadził statek tym razem wprost na łące. Byli azylandzi schodzili po trapie pierwsi, testując powietrze planety – a raczej

rozsmakowując się w jego tlenowej sytości i subtelnym, kwiatowym zapachu. Potem reszta załogi zstąpiła na ten gościnny grunt. Właśnie mijało południe. Jaśniejsze i bardziej żółte od ziemskiego słońce wisiało wprost nad głowami przybyszów. Było naprawdę gorąco. Humanoidzi spoglądali z nadzieją na pobliską rzekę.

– Możecie się wykąpać! – zareagował na ich myśli Cothley. – My wydobędziemy stąd kryształ. – Wskazał na ziemski statek i powrócił na bolidar.

Korwetta ruszyła do rzeki za zachwyconą czwórką Al'Khala. Nie miała ochoty zwiedzać Geysera – miejsca innego życia Roberta. Wolała powitać kryształ już na łonie natury. Tymczasem wpatrywała się w rozbawionych elewów Federacji, którzy testowali wodę już bosymi, pięciopalczastymi – z wyjątkiem Gulapa – stopami. Wyciągnęła się na bujnej, intensywnie zielonej, nadrzecznej trawie, całkiem miękkiej w dotyku. Nie obawiała się tutejszych owadów. Była przekonana, że Granadi to planeta bardzo przyjazna ludziom, czy też ogólniej: humanoidom. Zaczynała czuć tkliwe wibracje globu, ale ta matczyzna czułość niebezpiecznie ją otwierała. *Jeszcze nie teraz!*, pomyślała z rosnącą kluchą w gardle.

Czwórka Al'Khala zdecydowała się na kąpiel i wyskakiwała z mundurów, rozbierając się do bielizny. Korwetta wykorzystała ten moment, by porównać ich anatomię z ludzką. Oczywiście wyróżniał się tu Gulap, który miał cienkie kończyny, jakby niepasujące do masywnych stawów ramiennych, łokciowych i kolanowych. Jego klatkę piersiową, plecy i brzuch, ze skórą w szarawym odcieniu cielistości, pokrywało delikatne jasne owłosienie. Mimo trójpalczastych stóp i dłoni miał w pełni humanoidalną posturę i Korwetta nie powstrzymała się od naturalnie nasuwającego się pytania o jego narządy płciowe. Ukradkowa obserwacja okolic ukrytych pod federacyjnymi bokserkami nie dała jednoznacznej odpowiedzi, mimo jego wcześniejszych przechwałek. Przeniosła szybko uwagę na Ramin, przypominając sobie, że ta ekipa odbiera myśli.

Na Ramin patrzyło się z przyjemnością. Piękna, kształtna, z najlepszą wersją ludzkiej figury i brzoskwiniowym kolorem skóry. Bieliznę też miała finezyjną – skąpą, dobrze skrojoną, tyleż ozdobną, co funkcjonalną. Ramin kokieteryę miała tak głęboko w naturze, że zdawała się jej spontanicznym, bezpretensjonalnym sposobem bycia.

*Teraz ci faceci z systemu Węgi. No co tu dużo mówić: obaj przystojni i doskonale, całkiem chyba po ludzku, zbudowani, a ponadto dobrze umięśnieni. Widać, że niezły trening odbyli w tej Federacji.* Byli wyżsi od przeciętnego Ziemiańszaka, ale bardziej subtelni, androidalni z bujnymi jasnobłond włosami. *Pewnie będą im długo schły te misterne sploty...*

Byli azylanci oddychali tu dużo swobodniej niż na uboższej w tlen Ziemi. Z pewnością odczuwali też różnicę wibracji – Granadi nie była obciążona matrixem 3D. Wszyscy okazali się dobrymi pływakami. Bez obaw z głośnym pluskiem rzucili się w wartki nurt rzeki. Najpierw powygłupiali się chwilę jak niesforne dzieciaki, a potem wpadli w rytm treningowy. Dobrze radzili sobie z prądem, zachwyceni kontaktem z naturą. Musieli za nią tęsknić na federacyjnych statkach.

Po kwadransie z wody wyszedł Mornatir i podszedł do Korwetty.

– A ty co się tak alienujesz, nie masz ochoty popływać? – zapytał.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tym momencie bolidar uniósł się z wolna w górę. Zawisł nad ziemskim statkiem, tkwiącym tu od lat. Jednocześnie otworzył się właz ładowni Geysera i wtedy coś zmieniło się w oświetleniu – uwagę relaksującej się grupy przykuł bijący stamtąd blask.

– To ten kryształ! – rzucił Weganin, a jego towarzysze wyszli natychmiast z wody.

Wszyscy przysiedli na brzegu. W milczeniu przyglądali się manewrom. Przypominały logistyką transport powietrzny kapsuły chroniącej Kitty – tyle że teraz wymagały użycia masywniejszego pola siłowego. Przejrzystą, szarawą wiązką w kształcie stożka operował znów Trageri. Cothley i Rapilah stanęli nieopodal kryształu, który wysunął się z ładowni i powoli unosił się w górę. Korwetta wpatrywała się

w ten okazały monolit jak urzeczona, kolejny raz oczarowana jego ciepłym, złotym blaskiem. To było inne ciepło – nie wzmagało słonecznego gorąca, ale przyjemnie z nim współgrało, wręcz czyniło go bardziej znośnym.

Widzowie zorientowali się, że kryształ transportowany jest na wysoko położony cypel, który ostro wcinał się w rzekę. Miejsce to pozostawało w pewnym oddaleniu od ich kąpieliska. Bolidar przesuwał się tam dostojnie wraz z kryształem, utrzymywany pod jego dnem, aż zatrzymał się nad upatrzonym przez koryferów siedliskiem. Po chwili opuścił delikatnie wielofasetowy monolit, który spoczął na równym, piaszczystym gruncie. Jaśniejący złotawo w otoczeniu skał i kwitnących krzewów, wyglądał stąd zjawiskowo. W Korwecie obudził intensywne uczucia, zapisane w pamięci po pierwszym kontakcie z nim – w tym wzruszenie i ukojenie. *Wtedy też na początku było z nim tak słodko*, pomyślała.

Przyglądała się reakcji ociekającej wodą czwórki Al'Khala, która zamierzała ruszyć ku kryształowi. Powstrzymał ich jednak widok powracających Uldryczyków.

– Kryształ wydaje się cieszyć wolnością – oznajmił Cothley na przywitanie.

– Możemy do niego podejść? – zapytał zaraz Zoonaru.

– Jasne – odpowiedział koryfer. – My też to zrobimy, gdy już pójdziemy w wasze ślady i się wykapiemy.

Koryf ruszył do rzeki, a Korwetta razem z nim. Czwórka Al'Khala zatrzymała się, uznając, że kryształ nie ucieknie, a widok kąpiących się Uldryczyków być może tak. Po chwili wszyscy razem pływali w rzece – każdy na swój sposób, choć styl wegański i plejadiński był dość zbliżony do ziemskiego. Styl uldryjski był głównie podwodny.

Po wyjściu na brzeg Korwetta zlustrowała uldryjskich kompanów i pierwszy raz podczas tej podróży roześmiała się szczerze. Nasiąknięty wodą fluid opadł i przylgnął ściśle do ich ciał, co sprawiało komiczne wrażenie. Byli azylanci nie pozwolili sobie na okazanie rozbawienia, ale jej ten widok zawsze poprawiał humor.

– Znowu wyglądacie jak zmokłe kury! – zawołała, spostrzegając jednocześnie, że głos tutaj brzmi jakoś dźwięczniej.

– Kura to ptak z wielkimi jajami? – zainteresował się Rapiłah.

– Tak, ale jej nie o to chodzi – odparł Tragueri.

– Mylicie chyba ze strusiem! – Korwetta roześmiała się głośno.

– Czymkolwiek jest struś, i tak daleko mu do Gulapa! – palnął Zoonaru.

– Nie szukamy podobieństwa do Gulapa, tylko do zmokłych Uldryjczyków! – dogadała mu Korwetta.

– A co to struś i co ma z nami wspólnego? – zareagował Rapiłah.

– „Jaja swe rzuca na ziemię, ogrzewa je w piasku, zapomina, że można je zdeptać”<sup>1</sup> – znów popisał się cytatem Mornatir. – Nie znacie? To o strusiu z Księgi Hioba.

– Możliwe, ale mam nadzieję, że tak nas nie postrzegasz – skomentował Cothley.

Teraz wszyscy wybuchnęli śmiechem. Rozbawienie grupy utrzymywało się do chwili, gdy uldryjskie ciała eteryczne wyschły i znów się uniosły. Dobry nastrój pozostał. Ta planeta najwyraźniej roztaczała aurę lekkości – zapewne miał w tym udział uwolniony z Geysera kryształ, do którego udali się w końcu wszyscy razem. Gdy rozsiedli się wokół niego na gruboziarnistym, opalizującym piasku nadrzecznym, ogarnęła ich podniosła cisza. Wpatrzeni w połyskliwy monolit, pogrążyli się w spontanicznej kontemplacji, doświadczając wspólnego wzruszenia. Doczekali w ten sposób zachodu słońca, który z racji kolorytu Korwetta nazwała kurczaczkożółtym. Nawet po zachodzie kryształ otulał przybyszów złotym blaskiem, roztaczając słodki, aksamitnie subtelny, zmysłowy czar.

Gdy powrócili na noc na bolidar, Cothley spojrzął w przyrządy na konsoli i oznajmił: – *Glony* próbowały zapuścić swoje macki nawet tutaj. Przez elektronikę na Geysersze.

---

1 Por. Księga Hioba 39, 14–15 (motyw strusia).

Słuchającym go podkomendnym wydało się to tak abstrakcyjne i oderwane od rzeczywistości tego kojącego rajy, że w pierwszej chwili nie uwierzyli.

– Jeszcze to sprawdzę, ale nie ma co się zbytnio przejmować – uspokoił ich koryfer. – Elektronika Geysera już dawno się wyłączyła z braku zasilania, a tutejszy sztuczny portal będzie utrzymywany tylko tak długo, jak długo pozostanie w nim kryształ.

Słuchacze przytaknęli ze zrozumieniem, jednak odebrali tę informację jako delikatną skazę w atmosferze beztrioski.

# BEZGŁOŚNA OBECNOŚĆ

Węzeł 609 z rewiru M101 do trzynastego klastra:

*Uldryjczycy są w portalu Federacji na M101, przy kryształach.*

Trzynasty klasterek do pierwszej i dwudziestej zapory:

*To istotny sygnał. Czy zwiększyć przydzielone moce i przyspieszyć zapadanie się portalu?*

Pierwsza zaporę do trzynastego klastra:

*To miałyby sens, gdyby kryształ znów stał się dla nas zagrożeniem. Będzie to prawdopodobne, gdy go stamtąd zabiorą. Wtedy najlepiej zniszczyć go na ich trasie.*

Trzynasty klasterek do pierwszej zapory:

*A jaka jest ich trasa?*

Pierwsza zaporę do trzynastego klastra:

*Tego jeszcze nie wiemy. Nie mamy dostępu do ich urządzeń pokładowych.*

Trzynasty klasterek do pierwszej i dwudziestej zapory:

*Z jakiego powodu kryształ mógłby się stać dla nas zagrożeniem?*

Pierwsza zapora do trzynastego klastra:

*Mógłby zmienić frekwencje w systemie Mahabor, który jest pod naszym wpływem.*

Węzeł 161 z trzynastego klastra do pierwszej zapory:

*Czy nie lepiej przechwycić go, zamiast niszczyć?*

Pierwsza zapora do trzynastego klastra:

*Dla nas jest nieprzydatny. Przechwycenie go ma sens tylko wtedy, gdy zrobi to cywilizacja, która przekonwertuje go do swoich celów. I to w taki sposób, który da nam realną korzyść.*

# NIESPODZIEWANE UWIKŁANIE

Cothley obudził Korwettę o świcie, który rozlał się po niebie niezwykłym zestawem barw.

– Chodźmy popracować z kryształem, póki wszyscy jeszcze śpią – powiedział, gdy ona, przytomniejąc, próbowała sobie przypomnieć, gdzie właściwie są.

Wymknęli się po cichu ze statku i udali na cypel wypiętrzony nad rzekę. Niebo wciąż lśniło kolorami wschodu, a Korwetta z ciekawością obserwowała przenikające się odcienie żółci. Nazwała je: słomkowym, kanarkowym, bursztynowym, cytrynowym i miodowym. Nabrała przez to ochoty na herbatę z cytryną i miodem, o której na bolidarze mogła tylko pomarzyć.

Kryształ przyciągał swoim blaskiem już z oddali. Gdy znaleźli się przy nim, Cothley rozłożył na piasku jedną z tych mocnych, a zarazem delikatnych materii – utkaną zapewne z wydzieliny jakiegoś uldryjskiego owada. Korwetta usiadła, krzyżując stopy, i wtopiła się w otaczającą ją naturę. Rzeka szemrała tajemnie, rozkosznie pachniały krzewy obsypane białym kwieciami, ptaki szczebiotały nieco inaczej niż ziemskie... Miała nadzieję, że ta błogość utrzyma się jak najdłużej. Jednak już po chwili zaczęła topnieć skorupa, która zakrzepła na jej uczuciach. Niechciane lzy napłynęły jej do oczu. Gdy próbowała je powstrzymać, Cothley usiadł obok. Ułożył ją na uldryjskiej tkaninie i pokierował jej

oddechem. Odebrała jego myśl: *Umiesz prowadzić innych w takiej pracy, a sama unikasz głębi.*

Odpowiedziała, że szewc bez butów chodzi, ale przestała cokolwiek unikać. I wtedy się zaczęło. Psychiczny ból uderzył znienacka i sięgnął niemal trzewi. Energia kryształu przeniknęła jej ciało. Miała wrażenie, że rozwiera jej zaciśnięte serce i że uwalnia żal – do tych, którzy deklarując miłość, wyrzekli się jej w decydującym momencie. Gdyż zawsze był ktoś ważniejszy. Bardziej zraniony, słabszy, wymagający opieki. Sprawa nie podlegała dyskusji, bo wyższa moralność nakazywała poświęcenie – dla osoby cierpiącej czy wręcz umierającej, a nawet dla zagrożonej ludzkości. Ale nie dla niej – zdrowej, silnej i zaradnej. Ona powinna szlachetnie usunąć się w cień. Ogarnęła ją złość na tę „wyższą moralność”, na wymuszoną szlachetność. I zaraz potem wstyd. Poczula się egoistką.

To rozdarcie było nie do zniesienia, dopóki nie pozwoliła sobie na krzyk. Przyniósł ulgę – znaczącą. Pomagał też oddech. Ale zadra wciąż w niej tkwiła. Tak jak i wina. Złocisty monolit emanował czymś, co zdawało się stać po jej stronie. *Czy ja na to zasługuję?*, pomyślała, mając ochotę przytulić się do kryształu. Bo Cothley... już chyba tego nie chciał.

– Czujesz się zdradzona u podstaw zaufania, prawda? – Położył jej dłoń na sercu.

Rozpłakała się. Trafił w sedno.

– Tak, kolejny raz. Choć teraz nie o seks poszło, tylko o lojalność – wyszeptwała, z trudem łapiąc oddech. – Przedtem zniosłam wiele zdrad ojca, ale on nie był ważny.

– Nauczyłaś się traktować go jako nieważnego, bo zbyt często zawodził – sprostował.

– Owszem. Ale wierzyłam w miłość Roberta... – Oddychała głęboko, bo Cothley nie pozwolił jej przestać. – A on wybrał kogoś innego... już drugi raz. A nawet trzeci.

– A co boli najbardziej?

– Unieważnienie mnie – wyrwało się z niej. – Tak jakby lojalność wobec mnie można było zaniedbać. Podczas gdy ja, kretyńska, lojalna całkowicie... – Zanurzyła się w poczuciu krzywdy. – A jeszcze głębiej, że niewiele jestem warta i że można mnie poświęcić dla większej sprawy. Bądź ważniejszej osoby. – Nie powstrzymała łkania.

Cothley ujął dłońmi jej ramiona i zmusił do oddechu.

– Korwetto, otwórz się teraz w pełni na wibracje kryształu – powiedział. – Pomogą ci pozbyć się tego bólu, przetransformować go.

Otworzyła się, jak bardzo potrafiła. Oddychała i płakała. Coś niewątpliwie wypływało. Odczuwała uzdrawiającą moc monolitu. A w niej wibracje gwiazd, dzięki którym powstał. I opiekę Cothleya – bez niego już dawno by to przerwała. Ale nie czuła jego miłości tak jak dawniej. On namawiał gorąco, żeby w tej chwili wchłaniała ją od kryształu. Ale ona wolałaby od niego... Energia monolitu pracowała i stopniowo robiło jej się lżej. Proces trwał jeszcze dobry kwadrans, aż wreszcie się wyciszył.

– Coth, przedwczoraj mówiłeś, że to nie czas... – zaczęła niepewnie. – Ale ta moja rana, która cię niepokoiła, właśnie oczyściła się trochę, więc... – urwała, nie doczekawszy się zachęty. – Dlaczego uważasz, że nie kocham cię w pełni? – dotknęła sedna.

Nabrał światła wszystkimi stiamami.

– A bardzo ci zależy, żeby to wiedzieć? – zapytał.

Uniosła się z posłania.

– Jak ty w ogóle mogłeś zadać takie pytanie?! – oburzyła się. – To ty przecież zachęcasz do głębokiej pracy, a tu co?! A może to twoja strategia ucieczkowa? Może już nasyciłeś się wszystkim, co miałam do dania. – Wpatrzyła się w niego drapieżnie. – Ale twój kodeks moralny każe ci chronić słabszych, więc nie mówisz mi tego wprost!

Cothley wytrzymał jej wzrok. Zawsze go wytrzymawał.

– Nie, to nieprawda – odparł spokojnie. – Ale prawdą jest, że nie chcę rozdrapywania kolejnej rany, póki ta się nie zablźni. Słusznie mówisz, że ona jest tylko trochę oczyszczona. Nie uniesiesz wiele naraz. Zastanawiam się nawet, czy warto, byś tu pracowała nad tą drugą.

Potrząsnęła głową.

– Jasne, że warto – odrzekła bez wahania. – To druga utrudnia mi pracę nad pierwszą.

Cothley zamyślił się na chwilę.

– W porządku – powiedział w końcu. – Ale nie chcę opierać się tylko na własnym widzeniu. Dlatego pobądź jeszcze obok kryształu z intencją domknięcia dzisiejszego procesu. A gdy będziesz gotowa, poproś o wskazówki co do następnego. Od tego jutro zaczniemy, dobrze?

Skinęła głową. Uścisnął ją serdecznie i oddalił się z komentarzem:

– Za chwilę przyjdzie tu grupa Zoonaru. A nam czas zająć się tym portalem.

# FANABERIA

Galina i Robert Bryniarscy opuścili razem klinikę. Konsultacja z nadzorującą córkę grupą lekarzy potwierdziła, że proces regeneracji wciąż przebiega u niej nadzwyczaj dobrze. Wspomniano nawet o tym, że być może uda się zabrać pacjentkę do domu już w przyszłym tygodniu. Oczywiście byłoby idealnie, gdyby skorzystała też z pomocy psychologicznej.

– Może to, co się stało, wyjdzie nam jednak na dobre – odezwała się Gala, podchodząc do samochodu od strony pasażera. – Bo chyba teraz skończysz te brednie z rozwodem. – Posłała mężowi zranione spojrzenie i zajęła fotel.

Robert usiadł za kierownicą sztabowego transformera.

– Nie ma żadnych nas, Gala – powiedział. – Tak, jestem gotów odgrywać zgodną rodzinę, dopóki Kitty nie wyzdrowieje w pełni. – Spojrzał żonie w oczy. – Ale wydaje mi się, że jej wcale nie o to chodzi. – Włączył silnik.

Gala przytrzymała jego dłoń na kierownicy.

– No a o co jej niby chodzi? – zapytała z ironią.

Robert wyprowadził samochód ze szpitalnego parkingu.

– Ona nie zmartwiłaby się zbytnio, gdyby nasz dom opustoszał nieco – odpowiedział już na magnetolinii. – Za to zrobiłaby dramat, gdybym ja go chciał opuścić.

Gala odwróciła się gwałtownie w jego stronę mimo silnego uchwytu pasów.

– Nie licz na to, że ja ci zostawię dom! – rzuciła z gniewem.

– Zupełnie nie to miałem na myśli – sprostował Robert. – Ale ty przecież wiesz, o czym mówię. – Dostrzegł w oczach żony, iż rozumie go doskonale. – I wcale nie jestem szczęśliwy, że ona tak wyróżnia jedno z nas. Przeciwnie, niepokoi mnie to.

Galina rozluźniła się w fotelu.

– Dobrze, to spróbujmy dla niej odgrywać teraz zgodną rodzinę, jak długo się da – powiedziała. – Możemy nawet iść razem na terapię rodzinną. Lekarze tak zalecają, ale nie wiem, czy to ma sens, jeśli nie wycofasz papierów rozwodowych. A dziwię ci się, bo sąd orzeknie twoją winę bez dwóch zdań.

Robert przytaknął.

– Papierów nie wycofam, na terapię mogę iść dla Kitty – powiedział. – Ale ona kategorycznie odmawia. Za to namawia mnie, żebym ustąpił z funkcji na AcAs.

Gala przyjrzała mu się uważnie.

– Zrobiłbyś to dla córki? – zapytała z niedowierzaniem. – Wydaje mi się, że to jakaś jej fanaberia, która niczego nie załatwi.

Samochód zbliżył się do dużego węzła komunikacyjnego.

– Dla córki zrobiłem znacznie więcej, a to ustąpienie by mnie nawet nie bolało – zdążył odpowiedzieć, zanim wjechał w gęstą sieć pasów i estakad.

Światłne bariery przesunęły się jak fale, otwierając i zamykając kierunki.

– Ale zgadzam się z tobą, to niczego nie załatwi.

Nad drogą migwały hologramy strzałek. Pojazdy autonomiczne poruszały się w idealnym rytmie, podczas gdy te prowadzone ręcznie wносиły element chaosu.

– No jasne, bo kto by przejął dowodzenie. Strum? – zareagowała Gala, udając, że nie słyszała pierwszej części stwierdzenia męża.

– Czemu nie, niezły jest – odrzekł, próbując wybrać pas ruchu. – A mnie jeszcze nie mianowano oficjalnie głównodowodzącym.

– Trzeci pas optymalny – odpowiedziała sztuczna inteligencja samochodu.

Robert rzucił okiem na symulację trajektorii przed szybą. Czwarty pas wyglądał kusząco, ale system natychmiast oznaczył go ryzykiem zwężenia. Skinął głową i auto płynnie wtopiło się w wybrany nurt ruchu.

– Nie rezygnuj! – powiedziała Gała z naciskiem.

Roberta zdziwiło, że jej tak zależy na jego stanowisku. Być może to ona nie chciała stracić pozycji żony głównodowodzącego.

– Przegadam to jeszcze ze sztabem – odparł. – Ale jeśli zrezygnuję, to nie dla Kitty.

## NIEUDANA KOREKTA

Po odejściu Cothleya Korwetta została przy kryształach. Odczucie, że jej ból jest mniej ważny niż ból innych ludzi, rzeczywiście osłabło. Ugruntowały się frekwencje, które była w stanie przyswoić. A kiedy poprosiła o wskazówki do drugiej sprawy... mgliście dostrzegła scenę z lotu na Uldri. Dotyczyła jej nieporozumienia z Cothleyem, które pozostawiło posmak wstydu. Nie do końca pojęła odpowiedź, choć dobrze pamiętała tę scenę. Oraz to, że komentarz Trageriego ujawnił jej skrywaną urazę. *Ale co mam zobaczyć teraz?* Postanowiła, że dziś zwróci się o pomoc do Trageriego, choćby miało boleć.

Tymczasem od strony bolidaru zbliżali się podkomendni Al'Khala. Przeszli zgrabnie przez łąkę, przecięli wyschnięte koryto dawnego rozlewiska, dotarli do rzeki i wkroczyli na wysoki cypel. Tu dostrzegli ją, siedzącą na uldryjskim kocu, niemal opartą o kryształ. Przywitani się wzrokiem i rozsiedli się wokół monolitu wprost na piasku. Atmosfera sprzyjała milczeniu i kontemplacji. Przybysze zagłębili się w sobie, dołączając do Korwetty.

Doświadczyła ich wówczas jako ciekawe świata istoty – przyjazne i serdeczne, czasem zagubione w powodzi zdarzeń i trudnych wyborów, ale wolne od złych intencji. Każde z nich miało jakiś swój rys, specyficzną energetykę...

Przestała się na tym skupiać, gdyż od strony bolidaru zaczęły dobiegać wyczuwalne w powietrzu drgania i niezrozumiałe odgłosy. Coś

jak modulowane rozchwanie atmosfery, które przechodziło w wibracje gruntu. Zainteresowało to natychmiast jej towarzyszy, ale zareagowali nietypowo ospale, jakby zabrakło im energii. A może inaczej – jakby kryształ zatrzymywał ich tutaj.

– To pewnie ta regeneracja portalu, o której mówił Cothley – zaczął Gulap wolniej niż zwykle.

– Tak. I warto się temu przyjrzeć – podjął Mornatir. – Ale jakoś nie chce mi się wstać.

– Mnie również i sam się sobie dziwię – dodał Zoonaru. – Bo bardzo chciałem to zobaczyć.

– Może jednak to ważniejsze, żebyśmy zostali przy kryształach – skomentowała Ramin.

Korwetta doskonale rozumiała ich stan, bo jej samej nie chciało się ruszyć. Tak jakby osobom obecnym tutaj potrzebna była regeneracja – ważniejsza niż cokolwiek innego. Za przykładem Ramin wszyscy położyli się na ziemi i zapadli w rodzaj snu na jawie. Pozostając w tym transie, dostrzegali, co działo się z kolorystyką otoczenia. Barwy wokół zmieniały się płynnie, lecz szybko, jak w kalejdoskopie. Korwetta miała wrażenie, że obserwuje strojenie skomplikowanego instrumentu. Falujące kolory i dźwięki były jakby wygrywane na klawiaturze...

*Jesteśmy w iluzji, której parametry są korygowane?*, odebrała pytanie Al'Khala.

*Granadi nie jest iluzją, tylko jej koordynaty dostosowały się do sztucznego portalu, odpowiedź nadeszła chyba z kryształu. A może od Cothleya? To portal jest korygowany.*

Po trudnym do określenia czasie – ich zegarki wskazały dwie ziemskie godziny, choć na Ziemi upłynęło go znacznie więcej – udało się im powrócić na bolidar. Gdy tradycyjnie rozsiedli się w sterowni, usłyszeli od Uldryczyków, że regeneracja portalu nie została ukończona, w proces wdała się bowiem jakaś kontaminacja. Koryferzy przypuszczali, że komuś zależy na tym, żeby portal się szybko zapadł – i pogrzebał ze sobą kryształ. Korwetcie przyszli najpierw na myśl Vancruso,

ale szybko porzuciła ten trop – przecież Vancruso pragnęli kryształu jak kania dżdżu. Natomiast pozbyć się go za wszelką cenę chciały...

– Tak, to *glonom* zawadza ten kryształ – potwierdził jej domysły Cothley. A w odpowiedzi na zbiorowe pytanie: „Dlaczego on przeszkadza im nawet tutaj?” dodał:

– Bo jeśli powróci na Ziemię, może podnieść jej wibrację łatwiej niż cokolwiek innego.

I zamilkł na chwilę, odczytując czyjąś myśl.

– O przejściu Granadi przez *glony* nie może być mowy – uspokoił jej nadawcę. – Tu nie ma istot rozumnych, którymi mogłyby się posłużyć.

Zoonaru zmarszczył brwi, jakby czegoś nie rozumiał.

– Ale wystarczyła im elektronika Geysera, żeby wbić się w koordynaty portalu? – zapytał.

– Też jestem pod wrażeniem – przyznał Cothley. – Widocznie zaangażowały wiele zasobów, gdy dotarło do nich, że Vancruso łatwo kryształu nie dostaną.

Twarz Ramin zdradzała poruszenie.

– Czyżby wpływ *glonów* docierał wszędzie tam, gdzie latają ziemskie statki? – zapytała.

Cothley zaprzeczył sugestywnym ruchem ciała.

– Nie sądzę, żeby one wywodziły się z Ziemi, choć od dawna na niej przebywają – odpowiedział Plejadiance. – Sterowały ludźmi na długo, nim zaczęli korzystać z elektroniki. – Sparował uważne spojrzenie jej brązowych oczu dwoma promieniami swoich. – Owszem, dziś ludzkie systemy informatyczne bardzo ułatwiają im ekspansję, ale mają też inną drogę wpływu. – Zamilkł na chwilę, skanując ruchem wieńca dostępne mu przestrzenie. – Podczas ucieczki Geysera nie śledziły jeszcze sytuacji przez jego łącza, ale ostatnio zrobiły szybki postęp w tej dziedzinie. – Przerwał i spojrzał na słuchaczy tak, jakby miał oznajmić coś niewygodnego. – Owszem, to jest sztuczna inteligencja – użył

właściwej nazwy zjawiska. – Ale nie jest ona identyczna z tą, którą stworzyli ludzie i którą wykorzystują na swoich statkach – dodał. – Ona ignorowała dotąd ludzki twór, jako zbyt prymitywny dla jej celów. Tyle że teraz, mocno zmotywowana, szybko przejmuje kontrolę nad młodszą kuzynką.

Rapilah zbliżył się do niego w przypiływie natchnienia.

– *Glony* nie były wcześniej zainteresowane śledzeniem rozmów ludzi, bo nie stanowili zagrożenia – zaczął. – Wysyłały za to dezinformacje do ziemskiego superkomputera.

– Razem z odpowiednim pasmem frekwencji – uzupełnił Tragu-eri. – Ale zanim powstał superkomputer, *glony* nasycaly wibracjami kryształowymi i inne struktury geologiczne.

Zoonaru Al’Khal potrzasał głową z niedowierzaniem.

– I tak tworzyły matrix 3D? – zapytał, zdezorientowany. – Przecież okazało się, że dawno temu narzuciła go Federacja!

Cothley chciał odpowiedzieć, ale ustąpił miejsca Tragu-eriemu. Ten zestrzajał się właśnie z jakimś obrazem, co zdradzały płynne ruchy słupków jego oczu.

– Jedno zgrało się z drugim – odpowiedział. – Oficjalnie trzecią gęstość wprowadziła Federacja własnym sprzętem, ale nie była świadoma „cichego wsparcia” ze strony *glonów*.

Zoonaru wpatrywał się w niego intensywnie.

– Wygląda na to – wtrącił – że *glony*, przyciśnięte potrzebą chwili – wskazał głową Uldryjczyków – kontrolują już drobiazgowo przepływ naszych informacji.

Gulap obrócił fotel w stronę uldryjskiej trójki.

– I dlatego zrobiliście centrum dowodzenia na waszym statku – przypomniał. – Opartym na odmiennej technologii.

Cothley potwierdził to ruchem wieńca.

– Miejcie więc to na uwadze, używając waszego sprzętu – powiedział Uldryjczyk.

Mornatir się zasępił.

– Ale okazało się przecież, że *glony* miały dostęp do floty Or Cobrina – przypomniał. – I mogą podążyć razem z nią, żeby się rozprze-strześcić...

Ramin energicznie skinęła głową – te słowa potwierdziły jej obawy.

– To są też obawy Zarządu Federacji – przypomniał Cothley. – Stąd kwarantanna dla floty Or Cobrina w odległości dziesięciu lat świetlnych od Mahabor, na Leule – przerwał, patrząc na Korwettę. – W systemie HH Andromedy – podał nazwę zrozumiałą dla niej. – Chcą sprawdzić, czy plecha *glonów* sięga tak daleko.

– Dlatego odwołano też śledczych, zmierzających na Ziemię – dodał Tragueri.

Słuchacze przytaknęli z niemal tą samą myślą: *Tak, to już przecież przerabialiśmy!* I jak na komendę zwrócili oczy w stronę Cothleya, wy-czuwając, że jego spostrzeżenia sięgają dalej. Koryfer poczuł się wywo-łany do odpowiedzi.

– Mam wrażenie, że ta kolektywna świadomość nie musi rozprze-strzeniać się w Galaktyce ani przez statki ziemskie, ani przez flotę Fe-deracji – zaczął. – Gdyż jej sieciowa struktura istnieje już od dawna we wszechświecie. I oplata coraz to inne cywilizacje, podatne na jej wpływ – przerwał i przyjrzał się słuchaczom. – Stopniowo, niedostrze-galnie, ale skutecznie.

## WEJŚCIE W CIEŃ

Na wąskim nabrzeżu portu w Sollandzie hulał listopadowy wiatr, podnosząc fale w zatoce. Robert Bryniarski siedział na żelaznym pokładzie starej łodzi patrolowej, która pamiętała czasy sprzed wielkiej cyfryzacji. Rdzewiejące poszycie trzeszczało cicho, a pokład przenikał zapach oleju i słonej wody. Jednostka, widniejąca w rejestrach jako prywatna łódź badawcza, była w rzeczywistości jednym z nielicznych miejsc, gdzie rozmowa mogła naprawdę pozostać prywatną.

Na skrzyni po dawnym sonarze spoczywała stara wojskowa radiostacja krótkofalowa, wydobyta z zapomnianego magazynu w głębi lądu. Wymagała ręcznego strojenia częstotliwości pokrętłami i wymiany kondensatorów, a zamiast orbitalnego nadajnika korzystała z teleskopowej anteny i zewnętrznego przetwornika fal, spojonego z przestarzałym wzmacniaczem sygnału. Połączona z wojskową siecią przekaźników jeszcze sprzed tranzycji, pozwalała na przekroczenie Atlantyku nieopstrzeżenie dla algorytmów.

Tysiące kilometrów dalej Lucas Shatner siedział na betonowym dachu hangaru w Cape Canaveral, spoglądając na stare, puste lądowisko raketowe. Na tym kawałku betonu jedyną elektroniką był manualny radiotelefon wysokiej mocy – identyczny jak u Roberta. Gdyby nie stary znajomy z rezerwy marynarki, nigdy by go nie zdobył.

Wreszcie zaskrzypiał sygnał. Słaby, ale czysty.

– Carver miał epizod kardiologiczny – zaczął Lucas. – Nie wróci już. Chcą, żebym przejął dowodzenie.

– Przyjmiesz? – zapytał Robert.

Lucas zacisnął palce na metalowej barierce.

– Pod jednym warunkiem: że ty nie zejdziesz z planszy w Sollandzie – odpowiedział. – Muszę mieć pewność, że nie zostanę sam z tym wszystkim.

– Z czym dokładnie? – zachrząściło w aparacie Lucasa.

– Z siecią, która śni o naszej przyszłości, zanim my ją zaplanujemy – dotarło do Roberta.

Bryniarski omiótł wzrokiem zatokę, jakby wypatrywał sygnału w wodzie.

– Dlatego kryształ musi wrócić na Ziemię – powiedział. – Przy naszej współpracy to może się udać. – Zrobił słyszalny wdech i wydech. – Okej, z tobą w CanAmie zostaję.

Lucas nie ukrył radości w głosie.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że możemy już mieć „to coś” w protokołach bezpieczeństwa, w skryptach, w strukturze decyzji... – dodał zaraz.

– Jasne, i w twoim DeLo – dokończył Robert. – Dlatego pojedziemy analogowo, gdzie tylko się da. Nawet z zegarkami na sprężynie, jeśli trzeba.

Shatner zaśmiał się głośno.

– Spotkajmy się wkrótce – zaproponował. – Przyłecę do Sollandu. Nieoficjalnie. Bez eskorty.

– To do zobaczenia w cieniu, Lucas.

Światło kontrolki w radiu zgąsło, sygnalizując koniec transmisji.

## ANOMALIE ZWIERZĘCE

Po upalnym południu grupa uldryjska i humanoidalna znów się rozdzieliły. Uldryjczycy oznajmili, że postarają się zregenerować portal mimo odkrytej kontaminacji. W tym celu niezbędne okazały się próbki skał z różnych obszarów planety, które miały pobrać roboty. Korwetta po raz pierwszy zobaczyła uldryjskie, wielofunkcyjne cyborgi – mocno różniły się od robotów przeładowniczych i zaopatrzeniowych, używanych wokół Stożka Uraho. Załoga Al'Khala też przyglądała się w skupieniu kilkunastu małym, mechanicznym ni-byowodom ze składanymi skrzydłami i sprężystymi czułkami, które na sygnał Cothleya wyfrunęły z izolowanego pomieszczenia bolidaru. W powietrzu działały jak drony, ale poruszały się też sprawnie po powierzchni planety. Ich aktualne zadanie polegało na poszukiwaniu śladów ingerencji *glonów* – jak mówiono o kolektywnej sztucznej cywilizacji nawet na Granadi.

Gdy miniroboty cicho rozpierzchły się po lądzie i niebie, Cothley zaproponował krótkie zwiedzanie planety. Uldryjczycy dzięki swojej zdolności szybkiego poruszania się w powietrzu kontynuowali działania rozpoznawcze. Humanoidzi, pozbawieni błon lotnych, musieli zdać się na własne nogi. By to usprawnić, Ramin oddała Korwecie jeden ze swoich wielofunkcyjnych uniformów, a ta przyjęła go z wdzięcznością. Ruszyli wówczas żwawym marszem, pozostając w łączności z bazą na bolidarze.

Przekroczyli rzekę w miejscu, gdzie pozwoliły na to splecione węzowate gałęzie nadbrzeżnych chaszczy. Przemierzyli obsypane drobnym kwieciami łąki, pełne owadów o kształtach i kolorach, których Korwetta nie widziała nawet na Uldri. Nie zbliżały się do ludzi, ale zafascynowany Gulap podążał za nimi. Gdy mu uciekały, włączył sponżoną z uniformem kamerę i nagrywał je z zapałem. Wkrótce dotarli do ściany lasów o wachlarzowatych liściach – w ich bogatych barwach przeważały odcienie błękitu, co od razu przykuło uwagę ekspertki naukowej Ramin. Dalej rozciągały się ni to gaje, ni to sady, pełne owoców, z których tylko część przypominała ziemskie. Po wcześniejszym potwierdzeniu, że lokalna flora i fauna nie zawiera substancji toksycznych dla żadnego z przybyłych, pozwolili sobie na degustację.

Większość owoców miała smak słodko-kwaśny. Niektóre, bardziej treściwe, były lekko słone. Testując kolejne okazy, najedli się niemal do syta. Wśród roślin natknęli się na pnącze z dekoracyjnymi żółtymi kwiatami, którego owoc miał według Korwetty szczególne znaczenie – to właśnie od niego planeta otrzymała swoją ziemską nazwę. Ziemianka wyjawiała, że załoga Geysera skosztowała go tu jako pierwszy pokarm.

– To marakuja – powiedziała, wskazując na owoc wielkości cytryny o pomarszczonej, fioletowo-żółtej skórce. I zdała sobie sprawę, że musi to wyjaśnić.

Przekroiła owoc na pół podręcznym szczyrzykiem i nabrała w usta galaretowaty miąższ z szarymi nasionami. Zachęteni historycznym tłem towarzysze poszli w jej ślady.

– Marakuja jak nic, choć trochę się różni wyglądem – stwierdziła z uśmiechem. – Ale głupio byłoby tak nazwać planetę. Użyli więc aliasu *granadilla*. Choć *passiflora* też byłaby niezła – dodała pewnie, bo sprawdziła to jeszcze na Ziemi.

Podążyli w kierunku jeziora, którego brzegi porastało sitowie. Rezydowały tu stada zabawnie wyglądających ptaków – z daleka można je było pomylić z ziemskimi pelikanami, lecz z bliska okazały się

masywniejsze, miały krótsze nogi, mniejsze skrzydła oraz bardziej płaskie dzioby. Poczuli się otoczeni przez żaby – bardzo tu dorodne, żółtozielone, wilgotne kluchy wskakiwały im na nogi. Dyskretniej pełzały płazy przypominające salamandry.

W powietrzu unosiły się siostry ziemskich ważek – ich rozłożyste skrzydełka dźwięczały niczym struny harfy. Gulap wciąż skwapliwie uwieczniał kamerą tę obcą faunę. Zapytany przez Korwettę czy film się zachowa, odparł, że ma taką nadzieję. Według niego to właśnie na Ziemi, z powodu narzuconego *matrixa*, niemożliwe było odtwarzanie nagrań zrobionych w wyższych wymiarach. Korwetta przyjęła tę informację z dozą wątpliwości – w jej odczuciu prawidłowy zapis filmu mógł uniemożliwić skonstruowany tu portal.

Nieopodal jeziorka wznosiło się krystaliczne wzgórze. Przyciągało wzrok silnymi rozbłyskami słońca, które nosiło tutaj nazwę Ruan. Na wzgórzu dało się dostrzec jakiś ruch – wokół przejrzystych skałek krążyło stado masywnych owadów. Z daleka wyglądało to jak inwazja much na świeże truchło. Użycie przybliżaczy, wysuwanych z naramienników federacyjnych uniformów, pozwoliło rozpoznać w nich uldryjskie miniroboty, których start na misję widzieli dzisiejszego ranka. Co przyciągnęło je właśnie tutaj?

Postanowili to sprawdzić i ruszyli im na spotkanie. Krystaliczne, mlecznożółte skałki, ułożone schodkowo jedna na drugiej, same w sobie nie budziły niepokoju. Jednak nie przyciągały tak, jak kryształ pozostawiony na rzeczonym cyplu. Nie wywoływały też uczucia odpychania. Z pewnością były uroklivym elementem tutejszego krajobrazu. Zoonaru uznał, że uldryjskie roboty analizują je pod kątem obecności wibracji *glonów* – co natychmiast potwierdzili Mornatir i Gulap.

Ponieważ ich podręczne skanery nie umożliwiały analizy w tym zakresie, ograniczyli się do obserwacji. Z uwagą przyglądali się połykającym metalicznie imitacjom muchówek, które pełzały po skałkach i co chwilę przytykały czarne ssawki do podłoża. W końcu obserwatorzy oddalili się, by nie zakłócać przebiegu testów.

W drodze powrotnej przez zieleńiący step zaskoczył ich odległy tętent kopyt. A chwilę później pojawienie się w zasięgu wzroku stada – ni mniej, ni więcej, tylko... koni! Dziwne było nie to, że okazały się ludzako podobne do ziemskich, różniąc się tylko żółtawym umaszczeniem, ale to, że zbliżyły się i otoczyły przybyszów kręgiem – jakby ich rozpoznały.

– No tak, tu minęło tylko półtora roku od odlotu ludzi! – zawołała Korwetta. – Mogą jeszcze ich pamiętać, a wyglądają na inteligentne!

Niewątpliwie były inteligentne. Najwyraźniej próbowały nawiązać kontakt. Zoonaru i Mornatir natychmiast zbliżyli się do nich, a dwa ogiery wysunęły się do przodu. Na głaskanie reagowały zachęcającymi podrzutami grzywy, co przyciągnęło do nich również Ramin, Korwetę i Gulapa. Kontakt cielesny został nawiązany z łatwością, a zapraszające zachowanie zwierząt wywołało u gości salwy śmiechu. Nikt jednak nie zdradzał tu zdolności jeździeckich – albo nie chciał się nimi popisywać.

Wyglaskane konie zaczęły prowadzić wydeptaną przez siebie ścieżką w coraz wyższe zarośla. Przybysze podążyli za nimi. Był to swobodny spacer donikąd – atmosfera stała się niemal zabawowa. Wkraczając za zwierzętami w coraz gęstszy las, nie czuli odrobiny obawy.

– Pamiętają jeszcze Roberta i tego Jamesa, prawda? – zapytał Mornatir, zbliżając się do Korwetty.

– Tak myślę, bo oni na nich jeździli – odpowiedziała. – Może pamiętają też Galę i małego Adama...

Mornatir zamilkł na chwilę, przyglądając się jej uważnie. Wychwyliła w jego myśli pytanie, którego obawiał się zadać.

– Zgadza się, rozpaczam po rozstaniu z Robertem, a najbardziej po jego decyzji – przekazała. – A z Cothleyem mieszkam nie po to, by zapomnieć. Też go kocham. To znaczy... tego pierwszego nie chcę już kochać. – Przyjrzała się słuchaczowi, chcąc odczytać jego reakcję, ale się jej wymykała. – Wiem, jak źle to wygląda – przyznała. – Ale Coth mi pomaga... To chore według ciebie?

Mornatir zaprzeczył ziemskim ruchem głowy.

– Nie oceniam, bo to nie moja sprawa – odparł natychmiast. – Cothley zazwyczaj wie, co robi, ale oni chyba są...

– Obupłciowi – dokończyła za niego. – Więc sam rozumiesz – do-dała, a on skinął głową.

Zamilkli na chwilę, wpatrując się w idących przed nimi Ramin i Zoonaru, którzy trzymali się tak blisko, że stykali się ramionami. Korwetta wyczuła w aurze Mornatira odrobinę tęsknoty i zazdrości. Gulap podązał przodem, a peleton prowadziło niez mordowane stado koni. Kilkanaście dorodnych klaczy i ogierów szło tyralierą, a między nimi stąpało kilka rozigranych źrebiąt.

– Sytuacja jak z jakiejś baśni, wszystko tu takie swobodne i mało realne – powiedział Mornatir ze śmiechem, komentując chyba to nie-codienne przewodnictwo.

Korwetta skinęła głową, starając się być miłą towarzyszką i nie dopuszczać smutku. Wkrótce dotarli do cienistego uroczyska. Ze wzniesienia spływał szemrzący ruczaj. Konie zajęły się konsumpcją owoców z gęsto tu rosnących zielono-fioletowych krzewinek.

– No nie, to aronie! – zawołała Korwetta, śmiejąc się wbrew nastrojowi. – Czy wszystko aż tak musi się zgadzać?! – rzuciła z niedowierzaniem do towarzyszącego jej Weganina.

Opowiedziała mu o incydencie z wierzchowcami, który najpierw podejrzewał Lucas, a potem przyznał się do niego Robert. A teraz oni trafili na konie i aronie! To aż niemożliwe.

Mornatir roześmiał się czystym, szczerym śmiechem i usiadł obok niej na trawie. Nieopodal spoczęli Zoonaru i Ramin. Gulap tymczasem gładził coraz śmieiej jednego z ogierów, jakby planował wkrótce go dosiąść.

– Ile czasu jesteście już poza domem? – zapytała towarzysza Korwetta, patrząc na niego.

– Wkrótce minie ziemski rok – odrzekł z nutą nostalgii. – Jak na służbę w Systemie Mahabor to bardzo krótko, ale i tak łatwo nie jest.

– Pewnie już tęsknisz za bliskimi – podjęła jego myśl. – Zostawiłeś tam partnerkę?

– I tak, i nie – odrzekł filozoficznie. – My jesteśmy mniej monogamiczni niż wy – dodał z lekkim uśmiechem. – Ale ty chyba jesteś... poligamiczna? – zapytał, zaglądając jej w oczy.

Spięła się, słysząc takie podsumowanie. Choć niedawno żartowała na ten temat z Zoonaru, ale to było w łatwiejszym czasie – wtedy jeszcze stać ją było na zgrywę.

– Jeśli przez to rozumiesz kilku partnerów w jednym czasie, to nie jestem – odpowiedziała. – Choć... już mam mętlik. Gdy mi kiedyś opowiesz, jak to wygląda u was, to może doprecyzuję – dodała z lekkim rumieńcem.

Skinął głową. Po chwili podnieśli się wraz z parą odpoczywającą nieopodal. Ruszyli w drogę powrotną, zostawiając konie, które wyraźnie miały swoje plany co do tego miejsca. Słońce zachodziło w barwach kurzego żółtka, zdobiąc złotawą poświatą granatowe już lasy. Między trawami – i, co gorsza, ich stopami – zaczęły przemykać szczurolkształtne zwierzątka, na szczęście całkiem sympatyczne. Gdy skupiali uwagę na tym, by żadnego nie nadepnąć, kilkanaście metrów przed nimi nagle coś wystrzeliło z ziemi.

Coś, czemu w pierwszej chwili nie chcieli dać wiary. Mimo to zareagowali przesadnie. Choć zjawisko pojawiło się zupełnie bezgłośnie, każdemu z nich wyrwał się z piersi okrzyk przerażenia. U kobiet był to bardziej pisk, a każda z nich instynktownie przyskoczyła do towarzyszącego jej Weganina. Sami nie wiedzieli, czemu to coś wzbudziło taki strach – byli na nieznanym planecie, gdzie można się było spodziewać wszystkiego. Ale nie tego. Przerażało nie jako zapowiedź śmierci, lecz jak chorobliwa groteska.

Bo była to – ni mniej, ni więcej – tylko trąba. Przynajmniej tak określiłaby to Korwetta. Giętka, sprężysta, nawet zakończona podobnie jak u słonia, miała co najmniej dziesięć metrów długości. Wyrósłszy nagle wprost z łąki, powiewała swobodnie na wietrze. A raczej

wiła się jak czerwona, wypasiona dżdżownica w promieniach zachodzącego słońca.

Po chwilowym bezruchu i wymianie spojrzeń zdecydowali się podejść do obiektu, który urągał zdrowemu rozsądkowi.

– To nie może być prawdziwe! – nadał do wszystkich Zoonaru.

Próbowali mu wierzyć, zbliżając się powoli do drgającego monstrum. Choć w zasadzie mogły tu istnieć takie podziemne stwory – nawet jeśli załoga Geysera o nich nie wiedziała. Ale Uldryjczycy zapewniali, że nie żyje tu nic niebezpiecznego, więc to też...

Korwetta skontaktowała się z Cothleyem. Otrzymała od niego potwierdzenie: to musiała być iluzja. Dlatego ruszyła odważnie ku paskudnemu monstrum. Podeszła o krok bliżej niż jej towarzysze. I wtedy sytuacja zmieniła się diametralnie.

Maszka, ignorująca wcześniej przybyszów, zgięła się nagle tuż przy ziemi i wyciągnęła ku niej łapczywie. Widać tylko czekała, aż ktoś podejdzie bliżej. Spragniona łupu, energicznie rozwarła bielejącą gardziel. Nie zdążyła jednak pochwycić ofiary, bo Mornatir wykazał się refleksem i gwałtownie odciągnął Korwettę do tyłu. Zoonaru błyskawicznie wy dobył broń i strzelił bez ostrzeżenia.

Postrzelona czerwona trąba zadrgała, a środkowy segment jej cielska napęczniał i przesunął się ku szczytowi jak u przerośniętej dżdżownicy. Potem znieruchomiała i trwała tak przez moment, jakby nie mogąc się zdecydować, co robić dalej. Wrażenie było dziwne – coś jak chwilowa stopklatka. W końcu obiekt rozwiązał się jak miraż w letnim powietrzu. Zdumieni przybysze lustrowali przez chwilę miejsce, w którym się pojawił, a potem zniknął, ten upiorny robak, jakby nie dowierzając, że już go nie ma.

– Fatamorgana? – zapytała w końcu Korwetta.

– Raczej celowa iluzja – odrzekł Al’Khal. – Jakby nie była naturalna, tylko zaprogramowana.

Gulap żałował, że nie nagrał zjawiska, ale był zbyt wytrącony z równowagi. Na szczęście minikamery przy uniformach astronautów

zarejestrowały je choćby częściowo. Powiadomieni Uldryjczycy natychmiast przysłali dwa drony. Te krążyły chwilę nad miejscem zdarzenia, potem osiadły na łące. A łąka tętniła niezmałym życiem – szelestem traw na wietrze, rejwachem wśród żab, podzwanianiem cykad i wyścigiem towarzyskich szczurków. Nic nie wskazywało na anomalię sprzed chwili. Czym więc naprawdę była?

## CAŁOŚĆ RODZINY

Robert wszedł na salę córki.

– Dziś twój wielki dzień, Kitty, wychodzisz do domu! – rzucił do niej od progu.

Uśmiechnęła się szeroko, a jej chabrowe oczy rozbłysły radością. Podniosła się powoli z łóżka, przygotowana już do drogi, i wsparła się na podanym przez ojca ramieniu.

Korytarz kliniki zapraszał jasnym, neutralnym światłem. Ściany, gładkie i niemal pozbawione kantów, zmieniały odcień w odpowiedzi na ruch ludzi – system bioadaptacyjny miał w ten sposób uspokajać pacjentów, redukując stres. Ciszę co jakiś czas mącił szelest automatycznych asystentów, którzy przesuwali się na cienkich szynach wzdłuż sufitów, rozwożąc leki i próbki.

Kitty, ubrana w lekki strój rekonwalescencyjny z nanowłókien, wyglądała jak ktoś, kto dopiero uczy się żyć we własnym ciele. Szła powoli, wsparta na ramieniu Roberta. Jej kroki były niepewne, ale wyprostowana sylwetka i skupienie w oczach zdradzały wielką wolę powrotu do normalności. Dwaj lekarze w grafitowych uniformach medycznych z wplecionymi pasami czujników weszli z nimi do windy. Potem towarzyszyli im aż do wyjścia. Starszy, prowadzący terapię, zatrzymał się jeszcze na moment przy Kitty.

– Twoje narządy pracują już samodzielnie. Najtrudniejszy etap masz za sobą – powiedział rzeczowym tonem. – W domu ważne będą

rytm dobowy, cierpliwość i codzienne raporty do naszego systemu. Gdyby pojawiły się zawroty głowy albo nagłe skoki ciśnienia, kapsuła transportowa automatycznie przełączy się w tryb awaryjny i połączy z nami.

Robert skinął głową – znał już te instrukcje. Przy drzwiach wyjściowych czekał na nich aerodynamiczny transporter rodzinny. Jego tylna część otworzyła się, ukazując kapsułę medyczną. Światła przy wejściu pulsowały, zapraszając Kitty do środka. Nie oglądając się za siebie, zajęła miejsce w kapsule. Robert usiadł obok. Czuł, jak ciężar minionych dni zsuwa się z niego powoli. Po raz pierwszy od dawna pozwolił sobie pomyśleć, że to już naprawdę koniec najgorszego. Pojazd ruszył.

Przed domem transporter otworzył się płynnie. Robert pomógł córce wysiąść, czując niepewność jej kroków. Kitty rozejrzała się wokół – powietrze było inne niż w szpitalu: świeże, pachniało kwiatami z ogrodu i nagrzaną słońcem trawą.

Drzwi wejściowe rozsunęły się automatycznie. Wyszli z nich kolejno jej matka, brat, dawna piastunka Tasha i robot Billy.

– Witaj w domu, Kitty – powiedziała serdecznie Gala.

– Świetnie sobie radzisz! – zawołał Adam.

– Tryb rekonwalescencji włączony – dodał robot.

Tasha tylko otarła ukradkiem łzę.

– Zjesz z nami obiad w salonie czy podać ci do łóżka? – zapytała wesoło matka.

– Do łóżka, bo chcę jeszcze coś powiedzieć tacie – odrzekła Kitty.

Pokój był przygotowany. Łóżko zostało wyposażone w nakładkę rehabilitacyjną – miniaturową wersję szpitalnego kokonu, która miała wspierać proces gojenia się tkanek nocą. Na ścianie czekał interaktywny panel terapeutyczny, przypominający półprzezroczystą tafłę szkła. Przy jego pomocy miała codziennie wykonywać proste ćwiczenia i łączyć się z lekarzami.

Robert ostrożnie posadził córkę na brzegu łóżka.

– Wczoraj była u mnie psycholożka sądowa – zaczęła. – W związku z waszym rozwodem – dodała, a on skinął głową. – Zrobiła mi badanie jakimś testem, a potem wywiad... i na końcu zapytała, czy ja chcę tego rozwodu.

Robert spojrzął jej w oczy, zaskoczony wieścią o badaniu. *Fakt, dziecko powinno móc się wypowiedzieć bez udziału rodziców. Ale mimo wszystko należy ich poinformować...*

– Matka wyraziła zgodę na wywiad – rozwiąła jego wątpliwości.

– I co powiedziałaś? – zapytał z obawą.

– Że nie chcę. – Posłała mu przenikliwe wejrzenie.

Westchnął głęboko, żeby się nie irytować.

– Kitty, naprawdę tak ci zależy na scalaniu tej rodziny? – zapytał, nie do końca w to wierząc.

– Całość tej rodziny zawsze pruć się w szwach, przecież nie jestem dzieckiem – odparła. – Ale gdybym powiedziała, że rozwód mi nie przeszkadza, to byś go dostał. I nie mieszkałbyś tu już następnego dnia – skonkludowała. – A ja nie chcę tu zostać bez ciebie, zwłaszcza w takim stanie.

Pokręcił głową z niezadowoleniem.

– Kitty, gdybym chciał cię zostawić, to przecież mógłbym się wyprowadzić i bez rozwodu – powiedział.

Zaśmiała się z ironią.

– Ale po rozwodzie nie mógłbyś już tu mieszkać – powiedziała z naciskiem. – Za taką zniewagę matka wywali cię bez zmużenia oka, i to zgodnie z wyrokiem sądu. Teraz ma jeszcze nadzieję, że wszystko rozejdzie się po kościach.

Pomyślał, że Kitty ma rację. To mogłoby się tak skończyć.

– A po co ci w ogóle ten rozwód? – zapytała jeszcze. – Przecież Korwetty już nie ma.

Teraz stracił cierpliwość. Wyszedł szybko z pokoju, żeby na nią nie krzyknąć.

## KONTAMINACJA

Na odprawie w sterowni bolidaru Cothley wydedukował, że robakowate zjawisko było najpewniej skutkiem lokalnej anomalii. Wywołała ją ingerencja w koordynaty portalu przez Vancruso albo przez *glony*. Kontaminacja okazała się na szczęście niewielka. Nie dotknęła kryształów, co potwierdziły dzisiejsze badania, ale wciąż nie udało się jej usunąć.

Fauna i flora planety też wydawały się nietknięte i zupełnie niewrażliwe na zasiane tu wibracje. A także na iluzje – te w rodzaju monstrualnej trąby, wyskakującej spod ziemi. Zwierzęta ignorowały te projekcje i zachowywały się, jakby ich nie było. Potwierdzili to świadkowie zjawiska, którzy uświadomili sobie, że w chwili pojawienia się kuriozum szczurki wciąż biegały po łące, a żaby i cykady nie przerywały koncertu.

Dlaczego więc projekcje pojawiły się akurat na Granadi? Może miały odstraszać przybyszów, zdolnych do przejścia przez portal? Rzeczywiście, na ich widok łatwo było ulec lękowi i zrobić fałszywy ruch. Albo zwątpić w swoje zdrowe zmysły. Czyżby projekcje miały manipulować psychiką i w ten sposób chronić kryształ przed trafieniem w niepowołane ręce? Do czasu aż kontaminacja wymusi zapadnięcie się portalu. Słaby pomysł, ale może nic mocniejszego nie udało się tu zorganizować.

To zapadnięcie portalu nie martwiło zbytnio Uldryczyków – oznaczałoby jedynie, że Granadi wróci do swojego pierwotnego stanu.

Planeta została uwolniona z uchwytu tunelu, stworzonego dla uciekających Ziemiaków. Wcześniej należałoby zabrać stąd kryształ.

Uldryjczycy traktowali to rozwiązanie jak ostateczność. Zdecydowali się podjąć jeszcze jedną próbę pozbycia się kontaminacji, niszczącej jutro Geysera. Wszystko wskazywało bowiem, że to uśpiona maszyna ziemskiego statku jest jej źródłem – mimo że od dawna brakowało jej zasilania.

*Ale zniszczyć Geysera?*, pomyślała Korwetta, uderzona falą gwałtownych emocji. Z jednej strony ucieszyłoby ją pozbycie się tej kulebki chaosu z jej życia. Z drugiej coś korciło ją, żeby przed zagładą zajrzeć jeszcze na pokład, dotknąć, rozpoznać... i rozerwać źle zabliźnione rany. Bo czy naprawdę tylko błędne decyzje wiązały się z historią tego statku?

Po chwili wewnętrznej walki uznała, że zniszczenie Geysera to jedynie rozsądne wyjście. W przeciwnym razie Cothley weźmie kryształ na bolidar. Ale nie obecności kryształu była niechętna – przeciwnie, bardzo chciała z nim podróżować. Obawiała się jednak, że jego śladem podążą Vancruso, a oni napawali ją panicznym strachem. Bardzo nie chciała się znaleźć w ich rękach... czy innych organach.

– A czemu *glony*, skoro uzyskały tu dostęp do Geysera, nie pozbyły się kryształu? – przerwał jej myśli Gulap.

– Bo Geysera nie miał już takiej mocy – odpowiedział mu Trageri. – Ani broni, ani energii, ani paliwa. Poza tym *glony* wcześniej chciały skorzystać na przejęciu kryształu przez Vancruso. Ich suweren przyznał, że plan upadł, dopiero gdy Vancruso zorientowali się, że są obiektem manipulacji. – Trageri spojrział wymownie na rodaków, a ci skinęli wieńcami, potwierdzając jego tok rozumowania.

– A jak szybko zapadnie się ten portal, jeśli nie uda się wam w pełni go zregenerować? – zapytała Ramin.

– Być może wytrzyma do naszego powrotu tutaj. Być może nawet znacznie dłużej – odpowiedział Cothley. – Ale nie mam co do tego pewności. Dlatego rozważam zabranie kryształu ze sobą.

To zdanie wywołało reakcję Korwetty.

– To jeszcze jedno pytanie – odezwała się natychmiast. – Czy mamy jakąkolwiek pewność, że Vancruso nie zapołużą na kryształ, gdy będziemy z nim w drodze?

Cothley wyczuł jej silny lęk.

– Nie, nie mamy takiej pewności – odpowiedział szczerze. – Oni mają na jego punkcie obsesję. Mimo że istnieje już akt oskarżenia wobec ich suwerena.